

*Dobrze znam mężczyzn i wiem, do jakich perwersji są zdolni...*



*Dziennik Fanny Szwajcarki*

OCTAVE MIRBEAU

Sprawa wyglądała następująco:

W biurze pośrednictwa zaczęła mnie jakaś gruba gospodyni i zaproponowała miejsce pokojówki u niejakiego pana Raboura w Turenii. Po uzgodnieniu warunków ustaliliśmy, że przyjadę tego a tego dnia, o tej a o tej godzinie, na taką a taką stację, co też się stało, zgodnie z planem.

Jak tylko oddałam mój bilet przy wyjściu, natknęłam się na jakiegoś mężczyznę, z wyglądu stangreta. Ten gbur, czerwony na twarzy, zagadał do mnie:

- Panna jest tą nową pokojówką, najętą do pana Raboura?
- Tak, to ja.
- A ma panna jakiś kuferek?
- Tak, mam kuferek.
- To dawajcie kwit bagażowy i zaczekajcie tu na mnie.

Wyszedł na peron. Kolejarze bardzo się koło niego uwijali. Nazywali go „panem Ludwikiem” i zwracali się do niego przyjacielskim choć niepozbawionym szacunku tonem. Ludwik odszukał w stosie przesyłek mój kuferek i zaniósł go do dwukółki, co stała przy szlabanie.

- No więc jak, wsiada panna?

Usiadłam przy nim na ławeczce i ruszyliśmy.

Stangret przyglądał mi się spod oka, ja też patrzyłam na niego uważnie. Od razu spostrzegłam, że mam do czynienia z prostakiem, zwykłym, nieokrzesanym chłopem, ze służącym bez krzty obycia, który nigdy nie pracował w dużych domach. Zmartwiłam się. Lubię piękną liberię. I nic nie wprawia mnie w taki zachwyt, jak białe irchowe spodnie, które tak wspaniale uwydatniają kształt jędrnych ud. Ten Ludwik nie miał żadnego szyku. Powoził bez rękawiczek, za luźna liberia z szaroniebieskiej lichej tkaniny wisiała na nim jak na kołku, a na głowie miał płaski kaszkiet z błyszczącej skóry, ozdobiony podwójnym złotym galonem. No, proszę! Ależ są zacołani w tej dziurze! A jeszcze do tego ta ponura i chamska mina, choć może nie taki straszny z niego

diabeł. Znałam już podobne typy. Przez pierwsze dni odnoszą się do nowych służących nieufnie, ale potem wszystko się jakoś układa. Czasem nawet lepiej, niżby się chciało.

Jechaliśmy długo, nie odzywając się słowem. Udawał ważnego stangreta, wysoko trzymał lejce, zamasyście wywijał batem... Co tu gadać – bardzo był śmieszny. A ja siedziałam godnie wyprostowana i wpatrywałam się w krajobraz, choć prawdę mówiąc, nie było na co patrzeć. Pola, drzewa i domy, jak wszędzie. Przed jakimś wzniesieniem puścił cugle i spytał z drwiącym, uśmiechem:

– A przywiozła panna chociaż odpowiedni zapas trzewików?

– Oczywiście – powiedziałam zaskoczona tym pytaniem ni z gruszki, ni z pietruszki, a jeszcze bardziej tonem, którym je zadał. – Dlaczego o to pytacie? Przecież to głupie, sami się zastanówcie, ojczulku.

Kuksnął mnie łokciem i rzuciwszy dziwne spojrzenie – nie mogłam odgadnąć, czemu było w nim tyle bezczelnej drwiny i, dalibóg, obleśnego rozbawienia – powiedział, śmiejąc się szyderczo:

– Nie, coś podobnego! Uduje taką, co to nic nie rozumie. Oj, filutka, przekłeta filutka!

Potem cmoknął wargami i koń znowu puścił się galopem.

Zaintrygował mnie. Co to wszystko miało znaczyć? Chyba nic... Pomyślałam, że ten pocziwina to pewno jakiś głupiec, co w ogóle nie wie, jak się ma zwracać do kobiet, i chce tym sposobem podtrzymać rozmowę, którą zresztą natychmiast uznałam za stosowne przerwać.

Posiadłość pana Raboura była dość ładna i spora. Śliczny dom, pomalowany na jasnozielony kolor, otaczał rozległy trawnik, na którym rosły kwiaty i cały laszek pachnących żywicą pinii. Uwielbiam wieś, ale – rzecz szczególna – napełnia mnie ona smutkiem i nudzi.

Byłam całkiem otumaniona, kiedy weszłam do sieni, gdzie już czekała na mnie ta sama gospodyni, która najęła mnie

w Paryżu, w biurze pośrednictwa pracy, po Bóg wie ilu wścibskich pytaniach o moje czysto osobiste sprawy i upodobania, co już powinno było wzbudzić we mnie podejrzenia... Ale człowiek, chociaż tyle widział i przeżył tyle ciężkich doświadczeń, niczego się z nich nie nauczył. Gospodyni nie przypadła mi do gustu już tam, w biurze pośrednictwa, a tutaj natychmiast poczułam do niej odrazę i uznałam, że wygląda na wstrętą rajfurę. Była gruba, gruba i niska, niska i nalana sadłem. Kosmyki siwiejących włosów przylepiały się jej płasko do czaszki, miała ogromny, przelewający się biust i miękkie, wilgotne dłonie, przezroczyście jak galareta. W szarych oczach kryła się złośliwość, zimna, wyrachowana i przebiegła. Patrzyła na mnie w taki sposób, takim wzrokiem grzebała w duszy i ciele, że poczułam, jak się rumienię.

Wprowadziła mnie do saloniku i zaraz wyszła, mówiąc, że idzie uprzedzić pana o moim przyjeździe. Pan chciał mnie obejrzeć, zanim rozpocznę pracę.

– Pan przecież jeszcze nie widział panienki. Ja pannę zgodziłam, to prawda, ale panna musi się także i panu spodobać.

Rozejrzałam się po pokoju. Panował w nim wyjątkowy porządek i czystość. Mosiężne klamki, meble, posadzki, framugi okien i drzwi były gruntownie wypolerowane, wywoskowane, polakierowane i lśniły jak lustro. Żadnych ozdóbek, ciężkich tkanin, żadnych haftów, które tak często widuje się w paryskich mieszkaniach. To wnętrze było wizerunkiem solidnego, pełnego powagi dobrobytu, dostatniego, unormowanego i spokojnego życia na prowincji. Ale jak człowiek musi się tu nudzić! O, do licha!

Wszedł pan. Ach, cóż to za śmieszny jegomość, jakżeż mnie jego widok rozbawił! Wyobraźcie sobie niewielkiego staruszka, wystrojonego, gładko ogolonego, różowutkiego jak lalka. Wyprostowany, bardzo ruchliwy, bardzo wypielęgowany i – daję słowo – chodząc, podskakiwał jak konik polny na łące. Przywitał mnie z wielką uprzejmością.

– Jak ci na imię, moje dziecko?

– Celestyna, proszę pana.

– Celestyna – mruknął – Celestyna. Do czarta! Piękne imię, nie ma co. Ale za długie, o wiele za długie. Będę cię nazywać Mary... jeśli pozwolisz. Brzmi tak samo ładnie, a jest krótkie. A poza tym każdą z moich poprzednich pokojówek nazywałem Mary. Taki już mam nawyk i bardzo byłoby mi przykro, gdybym miał z niego zrezygnować. Raczej wolałbym zrezygnować z osoby.

Oni wszyscy mają tę dziwną manię zmieniania naszych imion. Więc nie bardzo się zdziwiłam, zwłaszcza że mnie samej zdążyli nadać imiona wszystkich świętych z całego chyba kalendarza.

– Więc nie zrobi ci przykrości, jeśli cię będę nazywał Mary? Zgoda? – nalegał.

– Ależ oczywiście, proszę pana.

– Ładna dziewczyna, dobry charakter... Pięknie, pięknie!

Mówił to wszystko żartobliwym tonem, z przesadnym szacunkiem, a przy tym nie wpatrywał się we mnie i nie szperał w moim staniku i spódnicy wzrokiem, który rozbiera, jak to zwykli robić inni mężczyźni. Ledwie rzucił na mnie okiem. Od razu jak tylko wszedł do saloniku, z maniackim uporem utkwiał wzrok w moich trzewikach.

– Masz jeszcze inne? – spytał po krótkim milczeniu i zdawało mi się, że przez tych parę chwil wzrok dziwnie mu się rozjarzył.

– Inne imiona, proszę pana?

– Nie, moje dziecko, inne trzewiki.

I zaczął szybko przesuwając po wargach spiczastym językiem jak kot.

Nie od razu odpowiedziałam. Słowo „trzewiki” przypomniało mi łobuzerskie żarty stangreta i wprawilo w osłupienie. A więc coś się w tym kryło? Przynaglona powtórnym pytaniem odrzekłam wreszcie, głosem nieco ochrypłym i drżącym, jakby wyznając grzech rozpusty:

– Tak, proszę pana, mam jeszcze inne.

– Lakierowane?

– Tak, proszę pana.

– Bardzo, bardzo błyszczące?

– Ależ tak, proszę pana.

– Dobrze, dobrze... A żółte, skórzane?

– Nie, takich nie mam, proszę pana.

– To musisz mieć i takie. Dam ci w prezencie.

– Dziękuję, proszę pana.

– Dobrze... dobrze. Nic już nie mów.

Przestraszyłam się, bo w jego oczach zamigotały niespokojne błyski i powlekała je czerwona mgła... jak w spazmie... Krople potu spływały mu po czole. Myślałam, że zaraz zemdleje, i już miałam krzyknąć, wołać pomocy, ale atak mijał powoli i po paru minutach pan odezwał się znowu zwyczajnym głosem, choć w kącikach warg zostało mu jeszcze trochę śliny.

– To nic... już minęło. Zrozum mnie, dziecko... Mam swoje dziwactwa... W moim wieku to dopuszczalne, prawda? Na przykład, zapamiętaj to sobie, nie uważam za stosowne, by jakakolwiek kobieta czyściła swoje trzewiki, a cóż dopiero moje. Bardzo poważam kobiety i nie zniósłbym tego. Ja będę czyścił twoje trzewiki, twoje trzewiki, twoje trzewiczki, twoje drogie, małe trzewiczki. Słuchaj uważnie... Każdego wieczoru, nim pójdziesz spać, przyniesiesz swoje trzewiczki do mojej sypialni... postawisz je przy łóżku... na stoliczku... a z rana, gdy wejdiesz otworzyć okna, zabierzesz je z powrotem.

Ponieważ okazałam niezwykle zdumienie, dodał:

– No i cóż w tym wielkiego? Przecież nie domagam się żadnych strasznych rzeczy... to rzecz całkiem zwykłą... A jeśli będziesz grzeczna...

Szybko wyciągnął z kieszeni dwie monety i wręczył mi je.

– Jeśli będziesz bardzo grzeczna, bardzo posłuszna, często będę ci dawał prezenciki. Gospodyni będzie ci płaciła co miesiąc pensję... Ale ja, ja sam, Mario, będę ci często dawał różne prezenciki. A czegoż to ja się od ciebie domagam? No, proszę, przecież

w gruncie rzeczy to nic nadzwyczajnego?... Mój Boże, czy to do-  
prawdy jest takie dziwne?

Pan zaczął się znowu podniecać. W miarę jak mówił, jego  
powieki trzepotały, trzepotały... niczym liście na wietrze.

– Dlaczego nic nie mówisz, Mario? Powiedz coś... Dlaczego  
stoisz w miejscu? Zrób parę kroków, żebym je zobaczył w ruchu...  
żeby nabrały życia... te twoje trzewiczki.

Uklęknął, całował moje trzewiki, macał je i pieścił, gorącz-  
kowo rozsznurowywał. Całując je tak, macając i pieszcząc mówił  
błagalnym głosem, płaczącym głosem dziecka:

– Och, Mario, Mario, te twoje trzewiki... Daj mi je zaraz, za-  
raz, zaraz. Chcę je mieć zaraz... daj mi.

Opadłam z sił. Byłam jak sparaliżowana, osłupiała. Już sama  
nie wiedziałam, czy żyję na jawie, czy śnię? Pana oczy zamieniły  
się w dwie białe kulki, pocięte czerwonymi żyłkami. Usta miał  
umazane pieniącą się jak mydło śliną.

W końcu zabrał moje trzewiki i zamknął się z nimi w swoim  
pokoju na całe dwie godziny.

– Bardzo się panu spodobałaś – powiedziała gospodyni opro-  
wadzając mnie po domu. – Staraj się, żeby tak było nadal. To  
dobre miejsce.

A w cztery dni później, kiedy rano o zwykłej godzinie po-  
szłam otworzyć okna w pana sypialni – omal nie zemdlałam ze  
zgrozy. Pan nie żył. Leżał na wznak pośrodku łóżka, prawie nagi,  
nieruchomy, trupio sztywny. Nie rzucał się przed śmiercią, po-  
ściel była w zupełnym, porządku. Na powleczeniach – najmniej-  
szych śladów walki, agonalnych drgawek czy skurczu dłoni, któ-  
rymi chciałby zdławić śmierć. Można by sądzić, że śpi, gdyby nie  
jego posiniała, przerażająco fioletowa twarz koloru bakłażanów.  
Ale bardziej niż jego twarz przejęło mnie zgrozą co innego. Pan  
trzymał w zaciśniętych zębach jeden z moich trzewików; ścisnął  
go tak mocno, że chcąc go wyrwać, musiałam, po wielu darem-  
nych i potwornych wysiłkach, przeciąć skórę brzytwą.

Żadna ze mnie święta. Dobrze znam mężczyzn i z doświad-  
czenia wiem, do jakich wariactw i do jakich świństw są zdolni.  
Ale taki wytworny mężczyzna? Nie do wiary! I czy to nie  
śmieszne, że w ogóle są na świecie takie typy? I skąd im się biorą  
te pomysły – przecież kochać się jest tak łatwo, tak prosto  
i przyjemnie, gdy się to robi jak normalni ludzie.





Celestyna – młoda śliczna służąca – oczekuje od życia więcej, niż los i status społeczny mogą jej zaoferować. Świadoma swojej seksualności i czaru wie, że jest obiektem fascynacji kolejnych pracodawców i obiektem nienawiści ich żon. Początkowo broni się przed namiętnością, z czasem jednak zaczyna czerpać przyjemność z coraz bardziej odważnych i urozmaiconych przygód erotycznych, a seks staje się dla niej radością. Podczas pobytu u państwa Lanlaire prowadzi dziennik, w którym opisuje swoje przygody i wspomina pracę w innych domach: romanse, kochanków, śmieszne i tragiczne historie. Celestyna ma niezwykle ostre pióro i znakomity dar obserwacji. I nie zna litości w zdradzaniu tajemnic swoich chlebodawczyń oraz przywar swoich panów zafascynowanych jej urodą.

U Lanlaire'ów Celestyna poznaje Józefa – służącego, tyrana, stręczyciela i sadystę. Boi się go, ale jest nim zafascynowana. Pewnego dnia w lesie zostaje znaleziona zgwałcona i zamordowana dziewczyna – Klarcia. Celestyna domyśla się, kto to mógł zrobić... Tylko czy jej to będzie przeszkadzało?

[www.morginesy.com.pl](http://www.morginesy.com.pl)



9 788364 700613

cena 37,90 zł

PATRONAT

INSTITUT  
FRANÇAIS  
POLOGNE

BOOKLIPS.PL IIII

ROOM